PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 33 (202)
WARSZAWA
19 SIERPNIA
1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

KAZIMIERZ CZACHOWSKI — NARODZINY TALENTU
ROSA BAILLY — WZLOTY
TYMON TERLECKI — WIZYTA W ŻELAZOWEJ WOLI
KSIĄŻKI — SPRAWY NIEMIECKIE — PRZEGLĄD PRASY

J. K. KOCHANOWSKI

O WOLNOŚCI I SILE DUSZY

Pisałem niegdyś, że dusza to formula stosunku stworzenia do Boga. Mam i dzisiaj wrażenie analogiczne, że psyche nasza, to jakby macka w stosunku do otaczających nas objawów „ducha", czy „materii". „Macka" wyczuwa *to* i *tamto*, ale czuje przytem i *siebie*.

Czy ta przesłanka jest „obiektywna", to znaczy wiarogodna dla każdego z nas — nie wiem i raczej o tym wątpię. „Subiektywnie" atoli, z całą pewnością płynie tu dla mnie wniosek, że zapoznawanie „pierwiastku nadprzyrodzonego" („ducha") w życiu — to absurd, ale: przerzucanie na jego barki a *limine* wszelakich spraw człowieczych — to barbarzyństwo...

*

Nie wegetacja istot żyjących, lecz wysokie, bodaj najwyższe możliwie napięcie ich sił, może odsłaniać przed nami tajniki głębsze mechanizmu ich życia.

Podobnie — nie społeczność, zgrana wielorako w zespole swych cząstek składowych, lecz starcia, jakie między cząstkami tymi — ludźmi — zachodzą na arenie życia, zdolne są wprowadzić nas w głąb wyczuwanych przez nas tajników ich bytu.

Nic dziwnego przeto, że psychika ludzka, kryjąca zaklęty w niej świat zarówno biernych jak czynnych sił poznawania, może odsłaniać ich przed nami stokroć więcej w stanie silnego swego napięcia: fermentu, podniecenia, burzy — aniżeli w powijakach konwenansu, na tle dnia powszedniego.

Oskar Wilde w arcygłębokim rozważaniu „grzechu" i „cnoty", „winy" i „kary", „zbrodni" i „odkupienia", zawartym w słynnym jego utworze *De profundis*, dał nam, jako w studium głębinowym, zaczerpniętym z życia, tysiąckrotnie więcej niezrównanych podpatrzeń psychologicznych, niż mogło by zdobyć się na to t. zw. pospolicie „dociekanie".

Tezą wytyczną Wilde'a zdaje się być spostrzeżenie, że w psychice człowieczej istnieje tak wysoka kraina duchowości, iż na jej wyżynach niebosiężnych wszystko: wszelakie zjawiska życia w nas odbite — zarówno nizinne jak górne — zdolne są osiągnąć swą nirwanę, wskutek czego i najstraszliwsze nawet wstrząsy moralne (a może i wszelkie inne) mogą znaleźć tam swe ukojenie.

Jak atoli odbywa się w psychice ludzkiej doniosły ów proces na szczeblach swych stadiów poszczególnych: w kolejach swych, przemianach, przegubach i zwrotach — trudno się o tym wszystkim w poetyckich obrazach Wilde'a czegoś wyraźniejszego doczytać.

A szkoda wielka, bo jeżeli całość akordów jego psychologicznych może człowieka zająć, to właśnie li-tylko przemilczane przezeń wśród fiorytur artystycznych stadia pośrednie procesu, o jakim mowa — byłyby w stanie pouczyć go o rzeczach i sprawach, życiowo i cywilizacyjnie z punktu widzenia psychologicznego bodaj najważniejszych.

*

U wstępu do poruszonego tu zagadnienia trzeba rzucić pytanie, czy człowiek jest szczęśliwy przez to, że nim — jakby się zdawało — w danych okolicznościach „być powinien"?

Jak najoczywiściej — nie, bo nie rozumowanie, ani konsekwencje jego logiczne, lecz to, co zwykliśmy nazywać psychicznym, albo nerwowym stanem człowieka, rządzi jego „usposobieniem" — ono zaś „szczęściem" jego, lub „nieszczęściem".

Być może wprawdzie, że silna wiara, wznosząca człowieka ponad poziomy przeciętne życia, zdolna jest narzucić „nerwom", jako ludzkiej więzi materialnej, właściwy sobie stan psychiczny — wszelako nic ona to bezpośrednio, lecz owa „więź" stanowi o danym „usposobieniu" naszym.

Jakże wątłe są wobec tego podstawy subiektywizmu człowieka, a wszakże one to, nie zaś jakoweś dane obiektywne, stanowią o losach naszych moralnie!

Spokój i ukojenie, czy najboleśniejszy wstrząs cierpienia zawisły tedy w nas od dopustu czynników, nieraz — w poczuciu naszym — zgoła od nas niezależnych, które smagają jaźń naszą okrutnie, albo folgują jej zbawczo, niczem jeździec ujeżdżający konia!

Tu właśnie — po ziemsku rzeczy oceniając — miejsce na zespół nasz wewnętrzny z wyczuwanym przez nas źródłem niewyczerpanym sił świata, tj. na modlitwę i zdobywanie wśród niej wyzwalającego nas wewnętrznie z bolesnych więzów słabości — natchnienia mocy.

*

W człowieku — jak wiadomo — rządzi wszystkim „usposobienie" jego w danej chwili: tak dalece, że można by powiedzieć pod przenośnią, iż „doskonałego" Mutiusa Scaevoli ogień by nie parzył.

A jednak i nastroje — najwładniejsze nawet — ulgą zewnętrzną nie gardzą: pragną, aby trud ich napięcia, płynącego z wysiłku mocy wewnętrznych człowieka, zastępowały — możliwie jak najzupełniej — „koniunktury" zewnętrzne.

Dlatego to błysk — chwilowy a zawodny — „koniunktury pomyślnej" działa w depresji nie tyle pocieszająco, co demoralizująco, bo ludzi człowieka ulgą, gmatwając jednocześnie jego nastrój, pożądany przezeń istotnie w danej chwili.

A oto co nadto zaznaczyć tu trzeba w związku z przepotężną rolą „nastroju".

Jak ktoś, łaknąc ananasa, zdolny bywa pono — pod wpływem sugestii — odczuć go i w ziemniaku, tak też u dna wszelakiej depresji człowieczej zdają się pobrzmiewać mimo wszystko fletnie Syren olimpijskich, wieńczących męczennika wizją jego chwały, zdeptanej wprawdzie w kipieli złych losów, lecz marzonej (jak widać) tym usilniej w głębi tęsknot jego podświadomych.

Antynomie skłóconych z sobą wzajemnie w ludzkim starciu wewnętrznym elementów psychicznych — to właśnie cierpienie, dążące — choćby i na przekór tzw. rzeczywistości — do stania się, bodajby drogą metamorfozy czarodziejskiej własnych, ponurych pierwiastków swoich — szczęściem życia!

Czyliż „cierpienie" różni się w tym zasadniczo od czegokolwiekbądź?!

*

Ale oto — po wielorakim szamotaniu się się człowieka z samym sobą — nachodzi na niego fala prostracji, a za nią — nuda, nie będąca jednak dowodem, że coś jest „nudne rzeczywiście", lecz raczej, że w psychicznej kolei rzeczy po napięciu idzie wyczerpanie: ugorowanie nieuniknione a zbawcze danej dziedziny wrażliwości ludzkiej w danym złożeniu spraw człowieczych.

Potem refleksje — refleksje i refleksje... Refleksje w takim chociażby rodzaju:

W „winie" — nie zadanej komuś krzywdy żywej, bo ta byłaby jawną obrazą Boga, lecz w „winie" tzw. (teoretycznie) „bezprawia", przewiną istotną nie jest bodaj ono samo, lecz ujemny moralnie stosunek do niego ze strony „winnego".

Jeżeli też ten kaja się w danym przypadku szczerze — jest winien; jeżeli jednak nie mniej szczerze a mężnie trwa przy swoim — może okazać się „przestępcą"-bohaterem, walczącym z przemocą czy obłudą.

Racja bytu „prawa" polega bowiem nieraz, a niestety dość często jeszcze, na tym, iżby w interesie niecnoty, jako (niezbędnego jakoby tu i owdzie) motoru bytu zbiorowego — gasić światło życia pod pozorem jego ochrony.

Tymczasem zaś jest — jak słusznie twierdzi Roesbrock — wolą Chrystusa, iżbyśmy wśród spraw życiowych nawiedzali głębię pojęcia naszego o Bogu.

A głębia ta właśnie — nie coś innego, jak się to wydaje nieraz „mędrcom z szkiełkiem w oku" — głębia procesów psychicznych człowieka — jest po prostu dającą się ująć nader wielorako „rzeczywistością bytu".

Jako przykład, pierwszy z brzegu, niechaj tu posłuży rzut oka na zjawisko, zwane przeczuciem.

Bywa ono w ramach stanu pod- (nad?) czy po prostu świadomego człowieka — tchnieniem, nie budzącym bodaj wątpliwości. Ktoś, opanowany pragnieniem natężonym, aby coś z zewnątrz niego się stało, uczuwa w pewnej chwili, że owo coś stanie się — jakoż się staje... A odczucie to udziela się w momencie krytycznym nie tylko świadomości, lecz i całemu „samopoczuciu", a zwłaszcza nerwom i mięśniom opanowanego przeczuciem człowieka. W masie jego ciała jest ono jakby fizycznym akompaniamentem myśli, przelewającym się ciężko, jak ołów, w takt jej drgnień mglisto-świadomych.

Razem wziąwszy, odnosi się wrażenie, że — bez względu na to, co z czego powstało genetycznie: „fale" świadomości pomienionej z ciężkiego „fluidu", czy odwrotnie — są to już dziedziny, w człowieku dzisiejszym: odrębne.

„Dusza" i „ciało"?

Zaczyny, czy stan odwieczny ich „symbiozy"?

Zdaniem Platona, „ze wszystkiego, co człowiek posiada bliskiego bogom — dusza jego jest im najbliższa, (nie przestając być jednocześnie) najistotniejszą jego własnością".

Toteż człowiek — mimo całą swą niedoskonałość moralną, wyrażającą się w jego lawirowaniu nieudolnym między biegunami pychy i pokory, posiada jednak na ogół pewien instynkt, pozwalający mu na ocenę przybliżoną wartości, jakie dane mu jest wnosić do życia swego otoczenia.

Dzięki darowi temu, człowiek, a nade wszystko człowiek-twórca, który by nawet wartość swą mierzył jedynie miarą, narzuconą mu przez środowisko własne — dojdzie łatwo do stwierdzenia swej wyższości, zwłaszcza gdy dostrzeże, że to, na co się zdobył, ma widoki stania się dorobkiem nie tylko danego pokolenia, lecz i dalszych.

Z chwilą tą jarzmiące go dotąd sugestie wyższości otoczenia jego nad nim załamują się automatycznie. Że zaś zasady stosunku potomności do jego osoby — bodajby jako nieznane mu zgoła — również krępować go nie mogą, przeto ów wiekuisty (jako typ) człowiek-prymityw, wylaniający się ze stada: — on i jego w rozumieniu rozwojowym epigonowie — poczynają „śpiewać" — coraz to swobodniej — „samym sobie"...

Akompaniuje im w tym, a raczej może dyktuje im pieśń swą — ich sumienie: głos głębin wewnętrznych człowieka — werdykt trybunału, w którym „duch" osądza ich zgodność lub niezgodność ze sobą.

[1] Fragmenty rozdziału II nowej książki J. K. Kochanowskiego pt. *Humanizm a człowiek*, która w najbliższym czasie wyjdzie w druku nakładem F. Hoesicka.

Odnosi się przy tym wrażenie, że rola tzw. intelektu sprowadza się w procesie tym do czynności mechanicznej pośrednika, przekazującego przebieg owego procesu — świadomości, jako syntezie duchowo-materialnej człowieka.

Co zaś trzeba tu zaznaczyć, to okoliczność uderzającą, że potędze tzw. wyrzutów sumienia, które określamy tu, jako „głos ducha", nie odpowiada w najskromniejszej bodaj mierze siła intelektu, którą, zgodnie z naszymi założeniami, — poczytujemy za „głos materii".

Posiłkując się porównaniem, moglibyśmy powiedzieć, że gdy głos pierwszy to jakby surma, burząca mury — to drugi przypomina w zestawieniu z nim igiełkę gramofonu, znaczącą na powierzchni samopoczucia człowieka nikłym, acz na zawołanie wymownym swym śladem, tony huraganu, przepełniającego jego wnętrze.

Toteż człowiek normalny, mijający się z sumieniem, nie zaśnie spokojnie, podczas gdy popełniającemu błędy inne, wspomnienie ich snu nie zamąci.

W pierwszym bowiem przypadku człowiek ów skrzywdził — wbrew „duchowi" kogoś, albo pogwałcił inne jakieś ideały własne, szukając i znajdując tu i tam poziomo samego siebie; w drugim mógł był może kogoś i zgładzić — wszelako w obronie „głosu ducha", którego porywowi z mieczem w ręku (np. w walce o ojczyznę) nie potrafiliby zaprzeczyć ani on, ani inni.

Bywają jednak ciężkie sytuacje, których człowiek — bez względu na swe do nich istotne ustosunkowanie się, nieraz uniknąć nie zdoła.

Nazywa się to (kwestionowanym dość powszechnie!) „przeznaczeniem", a posiada (praktycznie) na równi z „wolną wolą" (choć to i tamto to sprawy (bodaj „życiowo") zgoła różne) — swój zasięg oddziaływań, któremu kres kłaść zwykło realnie — zwłaszcza w dziedzinie woli — *non possumus* człowieka niedoskonałego.

*

Skoro jednak przypuścilibyśmy możliwość jego doskonałości, a przeto przesłanki istnienia żywego „absolutu" (w danym przypadku — moralnego) w ramach naszego bytu — z chwilą tą ustałaby automatycznie racja, a za nią sens i celowość samego nawet rozważania poruszanych tu zagadnień.

Z podobnych bodaj względów nie należało by również mieszać z wywodami myśli ludzkiej — wyrazem intelektu — superlatywu uczuć ludzkich, Boga, za Którego sprawą bezpośrednią, zdaniem jednych, a bez Którego udziału, zdaniem innych — myśl ta została usamodzielniona, choćby na podobieństwo bujającego w przestrzeni końca nitki, tkwiącej zawiązkiem swym w kłębku niewiadomego.

Le mieux est l'ennemi du bien! Toteż i takie bodaj poczucie wystarczy najpotężniejszej nawet roli człowieka w życiu, jego godności, a niemniej i najbardziej nawet buńczucznym, lecz zrównoważonym, aspiracjom badawczym jego umysłowości.

*

Marzona przez poetów i bohaterów ludzkości wolność człowieka, za którą tenże cały już bezmiar najserdeczniejszej krwi swojej przelał w kolei wieków po świecie — nie jest koncepcją jego materialistyczną. Gdyby bowiem tak było istotnie, to ani człowiek, nękany głodem ciała a dochodzący pod razami dręczących go przeciwności do stanu apatii — ani ci, co toną w przesycie i jego prostracji, nie byliby w stanie ani służyć tzw. ideałom „oderwanym", ani — zwłaszcza — odradzać się pod ich oddziaływaniem.

W koncepcji „wolności" nie idzie tedy człowiekowi — a bodaj i wszelkiemu na ogół stworzeniu, wydzierającemu się z jarzma udręczeń — o dosyt w rozumieniu potocznym przyziemny, lecz o swobodę w wewnętrznym wyżywaniu się tj. o tzw. „wolność ducha".

A jest to nakaz nie mniej żywiołowy niż chęć nasycenia głodu albo popęd płciowy — z tą wszelako różnicą, że jeśli ostatnie te nakazy występują najpotężniejszej na ogół i najbezwzględniej na szczeblach najniższych stworzenia, to walka — zwłaszcza systematyczna — o wolność ducha, na najwyższych.

Nadto, owa tak wyraźna w swej nadrzędności, a przeto i młodszości życiowo rozwojowej, dziedzina ziemska żywiołu ducha, wykazuje (z natury rzeczy) podobnie jak wszelki szczebel ewolucyjnie wyżezy, złożoność w funkcjach swych bardziej skomplikowaną, a stąd i bardziej w wyrazie swym życiowym indywidualistyczną, osobistą, niż objawy pra-elementarnie podstawowych w bycie ludzkim żywiołów innych.

Stąd też nikt bodaj z myślicieli nie wyraził się o żadnym z żywiołów, jakim ulega człowiek — tak charakterystycznie, jak o duchu, chodzącym niby samopas pomiędzy ludźmi i biorącym w swe posiadanie jednych, a pomijającym innych: *Duch gdzie chce, tchnie...*

Nic też dziwnego, że masa, jako taka, będąca wyrazem i rezerwuarem zasadniczej przeciętności ludzkiej, i tolerująca przeto bez zastrzeżeń folgowanie przez człowieka żywiołom niższym — krępuje od prawieku wszelakimi, dostępnymi jej więzami tych, co nie gromadzko już, lecz indywidualnie, dążą w życiu (zawsze bądź co bądź zbiorowym!) za nakazami przepełniającego ich ducha.

Tak to z jednej strony powstają tamy, utrudniające rozwój człowieczeństwa w ludzkości; tak z drugiej rodzi się nakaz: *A jeżeli ręka twoja, albo noga twoja gorszy cię, odetnij ją i odrzuć od siebie.*

Płynie stąd wniosek, że jednostka ludzka, moralnie świadoma samej siebie, a stąd przeciwstawiająca się zasadniczo otoczeniu swemu, nie powinna nikomu w ogóle poddawać się na ślepo. Tam zaś, gdzie istota człowieka nie godzi się z przypadłym jej z urodzenia środowiskiem, co rzekomo winno ją z tym ostatnim wiązać na zawsze a bezwzględnie — człowiek ów — o ile do głębszej samotności zupełnej nie jest zdolny — winien, porzuciwszy związki krwi, ciążyć jedynie ku ludziom, bliskim sobie duchem, póki — zgodnie z założeniami najwyższymi psychiki swojej, nie odnajdzie własnego, osobistego swego synostwa Bożego — w sobie.

Wprawdzie — jakby w myśl Ewangelii: *Kto miłuje duszę swą, utraci ją, a kto nienawidzi duszy swojej na tym świecie, ten jej strzeże ku wiecznemu żywotowi* — powiadają i gdzieindziej: „Co oddasz, pozostanie przy tobie; co zachowasz — stracisz na zawsze" — wszelako dotyczy to najpewniej — jedno i drugie — nie „ducha" o którego tu chodzi, lecz o „duszę" w rozumieniu egotycznie bardziej poziomym.

*

I zwierzęta posiadają w swym życiu chwile podniosłego piękna — np. gołębie wśród ekstazy płciowo-uczuciowej. Wszelako nie podobna zauważyć, iżby przyczyniały się one świadomie i celowo do przedłużania lub utrwalania chwil tych czy to w życiu płciowym, czy poza nim, jak człowiek.

Istnieje w nas bowiem zdolność nie tylko planowego omijania czynników sprawiających nam przykrość, lecz i takiegoż poddawania się bodźcom, powodującym przyjemne doznania, czego bodaj (zwłaszcza w tym stopniu!) zwierzęta nie posiadają — podobnie, jak sugestyjnego wprowadzania się w nastrój przez siebie pożądany.

I dlatego to człowiek poddający się biernie — obyczajem ludzi, zwłaszcza (*vide:* zwierzęta!) niekulturalnych, wpływom szpetoty bytu, zdaje się mijać (nie tylko „idealnie", lecz także jak najrealniej) z przyrodzoną w rozumieniu psychicznym sytuacją swą potencjalną wśród stworzenia.

Są to zagadnienia doniosłe zarówno z punktu widzenia teoretycznego, który pozostawić tu należy specjalistom-psychologom, jak — życiowego z dziedziny kultury cywilizacyjnej w ogóle, a — uprawy uczuć ludzkich w szczególności.

Ta ostatnia — podobnie zresztą, jak wszystko niemal, co dotyczy człowieka — kojarzy się nie tylko ze sferą wysiłków jego indywidualnych, lecz i zorganizowanych — nade wszystko w instytucji religii.

Nie dotykając tu jej wartości wewnętrznych, trzeba stwierdzić, że jest ona reglamentacją dążących do zapewnienia ładu społecznego kanonów moralnych: że płynie z potrzeb zarówno jednostkowych jak gromadzkich — że wiąże się nie tylko z pewnymi nakazami państwowości, ale i działających w zgodzie z nią instytucyj.

Trzeba jednak pamiętać, że związane ze sferą poruszanych tu zagadnień pojęcia o „duszy" a — reglamentacje spraw choćby i najszczytniejszych, człowieka — to nie jedno. Wszelka bowiem reglamentacja może stawać się tym co najwyżej w stosunku do życia, czym jest gramatyka w stosunku do języka, państwo w stosunku do narodu, a forma wszelaka, choćby i najdoskonalsza, w stosunku do zawartej w niej treści — tj. czymś, co martwe jest i zatrzymane w biegu wobec tego, co żyje i co potęgą żywotności swej stwarza coraz to nowe postacie istnienia, a co mianujemy: „duszą".

A wszystko to, co nią — *quasi* ideą platońską — nie jest, przemija z natury rzeczy w obliczu nieśmiertelnego, nie starzejącego się „ducha"; przemija, napełniając drogi pochodu swego oparami nie tylko cnót swoich, lecz i błędów.

Albowiem: *errare humanum est...*

Dlatego apologeta greckiej harmonii — utalentowany w dziejach politycznych przenajwyżej władca świata — Rzym starożytny — nie pojmował i najczystszych nawet prymitywów chrześcijaństwa, zarzucając jego bohaterom *odium humani generis* i poddając ich prześladowaniom, jako rzekomych gorszycieli ludzkości. Dlatego zwycięzcy epigonowie męczeńskich w swoim czasie apostołów miłości dręczyli potem pogan, nie szczędząc następnie — w dobie herezji i reformacji — ognia ani miecza na zwalczanie wzajemne samych siebie. Dlatego po dziś dzień jeszcze głoszenie a pełnienie haseł, choćby i najwznioślejszych — to sprawy bardzo nieraz od siebie dalekie.

Któż przeto i kiedy bywał wśród owych zmagań się ludzkości z własnym ościeniem jej duszy — gorszycielem, a kto zbawcą?

Odpowiedź na to pytanie jest nie mniej ograniczona, niż ścisłość poznania człowieczego w jakiej bądź dziedzinie.

Mimo to poszukiwanym sprawdzianem sądów, bodajby do ideału cokolwiek zbliżonym, w świadomości naszej winno być, bo życiowo za wszelką cenę być musi, jakoweś kryterium, którym nicość dla człowieka być nie może choćby dlatego, że zarówno psychika jego, jak humanistyka powiadają mu niezbicie: *natura horret vacuum.*

Jeżeli nadto i najgłębsze dociekania dzisiejsze przyrodnicze prowadzą do wniosku, że „wszechświat to łupinka tego, co jest, szybująca na falach nieskończoności tego, czego nie ma, to — mimo wszystko — owo coś, co jest, nie jest i nie może być dla nas tym samym, co to, czego nie ma. To zaś, czego nie ma, nie wyczerpuje z zasobu pojęć naszych tego, co w nich jest — tym bardziej, że nic nie upewnia nas, iż to, co w pojęciach naszych dziś nie istnieje, nie znajdzie się w nich nigdy.

Odczuciem takim darzy nas zarówno stosunek życiowy psychiki naszej do świata, jak kwiaty jego duchowe: wiara, nadzieja i miłość.

To prawda, że przedmiot ich może i musi być zawsze i wszędzie w życiu — na tle różnorakich jego zmienności — względny, wszelako ludzkie kategorie psychiczne trzech cnót pomienionych są nie mniej „bezwzględne", niż kartezjańskie: *cogito ergo sum.*

Poucza nas o tym zarówno przeciętna psychika nasza, jak humanistyka, a bez pouczeń tych i głoszonego przez nie sensu życia — nie moglibyśmy w ogóle mówić o rozwoju, czy uduchowianiu się ludzkości, jak również o jej — wedle pesymistów — obniżaniu się okresowym.

I popadlibyśmy sceptycznie w nihilizm: owoc tegoż w gruncie rzeczy obskurantyzmu, uwstecznienia, który zwykł towarzyszyć jaskiniowcom.

Któż tedy — raz jeszcze pytamy — gorszycielem jest, a kto zbawcą?

Ten, co podtrzymuje w człowieku i ludzkości wiarę, nadzieję i miłość — choćby jako kadry jej odczuwania i zastanawiania się nad rzeczami — czyli też ktoś, co kadry te paraliżuje, usypiając człowieczeństwo litylko dla tego, że dany stan życia nie zgadza się tu i owdzie w danej chwili z głoszonym przez kogoś — szablonem?

A przecież powiedziano: *Idź, a jakoś uwierzył, niech ci się stanie...*

*

Człowiek — jak wszystko co żyje — rozwija się z biegiem czasu, w którego ramach danem mu bywa wśród wysiłków osiągać pewne udoskonalenie wartości swych najwyższych. Tak dalece, że człowiek stary może niekiedy dostrzegać poza sobą nie tylko sprawy swe „przemijające", ale wśród nich — w obliczu „duszy" własnej — bodaj i samego siebie.

Na ogół jednak — w życiu —wśród pełni jego doznań, człowiecza „miłość samego siebie", oraz towarzyszący jej automatycznie nakaz odpowiadającego jej skłonnościom „prawa doboru", brzmiącego: bliscy sobie niechaj trzymają się razem! — to potęga, jak życie samo, niezwalczona!

Gdybyśmy też wyobrazili sobie ową miłość i to prawo jako wzrok, sięgający tym dalej, im wyżej wznosilibyśmy się na szczyty istnienia, to *alter-ego* naszym stałby się ten, co by równie daleko wzrok swój roztoczył.

Stałby się on jedynym przyjacielem naszym: pomieniona bowiem miłość i prawo sięgają na ziemi i niebie ponad wszystko to, co prawem tym i miłością nie jest.

Atoli, skarbom tym bezcennym towarzyszy jako płynąca z przeznaczeń ludzkich więź fikcyjna wprawdzie, lecz sugestyjnie potężna, zbiorowisk, grup, gromad, społeczeństw, ludów i narodów — której imię: złudzenie (cywilizacyjne!) orzekające, że nie tylko my, lecz i inni miłują i dostrzegają naokół siebie toż samo i tak samo, co i jak miłujemy i widzimy — my.

Inaczej — wszystko, co ludzkiego jest na świecie, uległo by w chaosie (antykulturalnym!) indywidualnych egotyzmów człowieczych — rozproszeniu.

Otóż — klęską powojennych czasów naszych, które podkopały wszędzie w świecie podstawowe walory cywilizacji, jest osłabienie pomienionego „złudzenia", spowodowane — mimo nienaruszalności trybów psychologicznych bytu — zbyt ostrym pod wpływem „nieludzkich" doznań wojennych wejrzeniem w życie i w ludzi, podobnie jak my dotkniętych dziś wszędzie obnażeniem (niekulturalnym!) swego zmysłu spostrzegania.

A wśród bezmiaru powstających stąd „przemian" życiowych wybija się tu nadto na ich czoło potężne zjawisko inne.

Oto, Chrystus — z idealnie arcyczłowieczych i przeto boskich wysiłków, oraz zmagań się Ducha Swojego z doczesnością, w celu zaszczepienia Go ludzkości, znalazł jako wyjście — Swą śmierć męczeńską, uznając przez to Sam, że ludzie w swej większości przytłaczającej, a władnej, zdolni są tylko Go ukrzyżować.

Nic przeto dziwnego — zwłaszcza z punktu wyjścia psychiki pospolitej — że ludzie — „tymczasem" po dziś dzień, a jak najnamiętniej — krzyżują Go bez przerwy w osobach Jego naśladowców.

Odnosi się jednak wrażenie, że gdyby — wobec utajonej w głębi życia i rządzącej nim stamtąd jak gdyby kosmicznie miłości, będącej ponadto prawdą naczelną chrystianizmu — wszelka jednostka, jako kropla, odbijająca w sobie „wszechświat", dalej zaś wszelka grupa ludzka, nie zrywając (zbędnie!) związku swego cywilizacyjnego z powszechnością — szukać zechciała nade wszystko we wnętrzu duszy własnej Boga — to warunkujący jedyną do pomyślenia cywilizację, godną człowieczeństwa i duszy człowieczej rozwój chrześcijaństwa w świecie, stałby się na ogół może głębszy, pełniejszy i nade wszystko szybszy.

J. K. KOCHANOWSKI

„GAZETA POLSKA"

rozpoczęła druk znakomitej i w najlepszym gatunku sensacyjnej powieści

JOSEPHA CONRADA

TAJNY AGENT

w świetnym przekładzie Anieli Zagórskiej

„Gazeta Polska", jako jedyny dziennik w Polsce posiadający stały odcinek literacki, daje swojemu czytelnikowi systematyczny przegląd nowości wydawniczych.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 1
ODDZIAŁ MIEJSKI, Al. Jerozolimskie 12

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

NARODZINY TALENTU

Autentyczna opowieść z życia przemytników na granicy polsko-rosyjskiej stała się już wybitnym zdarzeniem literackim, co tym bardziej zadziwia, że *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*[1] Sergiusza Piaseckiego jest książką na wskroś romantyczną. Romantyczność wypływa już z faktu, iż autor, ur. w roku 1901 syn urzędnika pocztowego, po ukończeniu 7 klas gimnazjum czynny w powstańczej organizacji przeciw bolszewikom, następnie podchorąży szkoły warszawskiej i uczestnik kampanii 1920 roku, po wojnie wywiadowca II oddziału, nie tyle z braku lepszego zajęcia lub dla zysku, co z zamiłowania do niebezpiecznej przygody, stał się „asem" przemytnictwa; za bandytyzm skazany na karę śmierci, lecz ułaskawiony, w 11 roku odsiadywania kary w więzieniu świętokrzyskim, w zbiorowej celi więziennej, jął się pracy pisarskiej i pierwszą wydaną książką, w tak trudnych warunkach napisaną w ciągu półtora miesiąca, zyskał od razu szeroki rozgłos w literaturze i wielkie powodzenie u czytelników. Przyznać zaś trzeba, że ta książka, jakże niezwykła i przedstawiająca życie bardzo osobliwe, jest książką z prawdziwego zdarzenia.

Jej autor to nie żaden Urke-Nachalnik, którego sztucznie rozdęta sława literacka okazała się sensacyjną jętką. Albowiem w Sergiuszu Piaseckim, gdyby nawet miał pozostać autorem tylko jednej książki, zyskaliśmy pisarza o niewątpliwym talencie i — mimo pewne, nieliczne zresztą, błędy językowe, z którymi nie zdołał się jeszcze uporać, — artystę świadomego w odkrytym przez siebie powołaniu literackim.

Ów *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, jak autor ochrzcił swego powieściowego bohatera, będącego żywym odbiciem własnej osobowości i autentycznych przygód pisarza, zjednywa nas i pociąga niepodrabianym, naturalnym romantyzmem postawy życiowej.

Wprawdzie Piasecki nie poetyzuje życia ani zawodu przemytniczego, przedstawia je bez żadnych obsłonek. Przypomnijmy sobie jednak choćby taki ustęp opisu jednej z wielu wypraw: „Poruszamy się bez szmeru, — jak cienie, jak widma. Jesteśmy czujni, doświadczeni, przebiegli, śmiali, dobrze uzbrojeni, pewni siebie... Przyjemnie pracować w takich warunkach, z takimi kolegami..." Widać stąd, jak zresztą z całej książki, że bohater-narrator opowieści, czyli sam autor, szczerze sympatyzuje z opisywanym środowiskiem społecznym, i to tak dalece, że i czytelnikowi udziela się to współczucie z dzielną gromadą „asów" granicy, chociaż są to dosłownie bandyci, nie wahający się przed ograbieniem, gdy się zdarzy okazja, nie tylko swych przedsiębiorców, lecz także swych współzawodników, a nawet gotowi zabić przeciwnika, aczkolwiek jedynie w walce albo w koniecznej samoobronie.

Gromada to rządząca się wszakże swoistą uczciwością zawodową i jakimś aż rycerskim honorem, co dla zachowania godności przemytniczej każe w końcu prowadzić całą akcję korsarską rozgramiania band tak zwanych „powstańców", czyli nowych adeptów rzemiosła, nie przestrzegających obowiązującego dotąd „klasowego" obyczaju. Wiernych temu niepisanemu prawu „starych" przemytników poznajemy właśnie z opowieści Piaseckiego, opowieści romantycznej nie tylko z tego powodu, wszakże przez swoją ideę rehabilitacji przestępcy nabierającej mimo woli charakteru aż bajronicznego.

Aspekt wybitnie bajroniczny ma przede wszystkim sam narrator, bo chociaż opowiada on o sobie ze skromną wstrzemięźliwością, lecz jest to tylko pozór, choćby nie zamierzony, albowiem fakty mówią za siebie. Nie robi on z siebie żadnej ofiary losu, i owszem, opowiadając po prostu o swym przemytniczym życiu, wręcz wyznaje, że życie to mu odpowiadało, że było mu ono właściwym żywiołem, w którym mógł całkowicie wyładować swój bujny temperament.

Zresztą wiedzie mu się dobrze, skoro nawet z najgorszych opałów wychodzi cało i zawsze gotów do nowej przygody.

Ponad miłość kobiecą, którą nie gardzi, ale łatwo się z nią rozstaje, wyżej ceni przyjaźń męską, gotów dla niej do wszelkich poświęceń. Wśród tych przyjaciół, których przedstawia z gorącym entuzjazmem, a zawsze w sposób żywo zindywidualizowany, znajdują się najwybitniejsi rycerze rzemiosła, od wspaniałego Saszki Weblina, króla granicy, aż po Szczura, Kruczka i Grabarza, ostatnich współtowarzyszy wypraw. Jedni z nich giną, inni odchodzą do spokojniejszego bytu.

Wreszcie, jak przystało na bajronicznego korsarza, z licznej gromady narrator nasz zostaje na pograniczu samotny, zmuszony do ukrywania się przed poszukującymi go i tropiącymi po obu stronach strażami wojskowymi i policyjnymi, wciąż jednak czynny, nie dla pieniędzy, których zdobył już wiele, ale nie dba o nie, natomiast i z zamiłowania do życia niebezpiecznego wśród pól i lasów, i z chęci wypełnienia przyrzeczenia danego zmarłemu towarzyszowi.

Gdy i tego dokonał, z żalem rozstaje się z tym pograniczem, gdzie w natłoku sensacyjnych przygód i wrażeń spędził iście romantyczny okres życia.

Nie mniej romantyczny jest stosunek narratora do przyrody, w której i pisarz osiąga najpiękniejsze, najlepiej pogłębione chwile swego artyzmu. W obrazach przyrody Piaseckiego nie ma nic sztucznego; całe opisane przez niego współżycie człowieka z dziką naturą odznacza się rzadką szczerością odczucia i prawdziwie poetyckim polotem o niespodzianej wzniosłości. Narrator opowieści dokładnie zdaje sobie sprawę, czym się dla niego stała przyroda, w której odnalazł swobodę bujnego życia i niewyczerpane źródło ożywczej siły. Na tle wycieczki do Wilna daje też bezpośredni wyraz swej niechęci do miasta, którego klimat i ludzi osądza bardzo surowo, a skąd co najrychlej umyka, aby powrócić na szlaki graniczne, do swych ukochanych nocy, w których za drogowskaz służą mu gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy.

Tęsknotą za tymi szlakami i za tym drogowskazem, urastającym do znaczenia symbolu, jest dogłębnie przepojona cała ta księga wspomnień o czasach niepowrotnych, rozpamiętywana i marzona przez długie lata więzienne, wreszcie spisana z zaiste niezwykłym rozmachem pióra i objawionego z nagła temperamentu artysty.

Trudno rokować o przyszłości literackiej Sergiusza Piaseckiego, wszelako o *Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy* ponad wszelką wątpliwość stwierdzić się musi, że ta nowoczesna a w pełni autentyczna powieść w stylu bajronowym jest rewelacją rzetelnego i wielkiego talentu.

Przypomnieć tu zaś można *Pożogę*, również księgę wspomnień, która rozpoczęła karierę literacką Zofii Kossak i pozostała jedną z najpiękniejszych książek znakomitej autorki. *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* zrodził się wprawdzie w zupełnie odrębnym środowisku, ale... *spiritus flat ubi vult.*

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

[1] SERGIUSZ PIASECKI: *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój". Str. 415. (Z przedmową Melchiora Wańkowicza).

POLSKA ZAPOMNIANA

SUPRAŚL. FRESK Z CERKWI POBAZYLIAŃSKIEJ Foto C. B. I. S.

KSIĄŻKI

OLGIERD GÓRKA: *Naród a państwo jako zagadnienie Polski.* Warszawa 1937. Nakładem Biblioteki Polskiej.

Książka prof. Olgierda Górki wywołała szeroką dyskusję merytoryczną na temat poruszonych w niej problematów. Jak wiadomo, zawiera ona szereg tez naukowo-politycznych, oraz obszerną część ideowo-publicystyczną, omawiającą najaktualniejsze sprawy polskiego życia współczesnego. W ostatnim, 7—8 n-rze *Drogi* znajdujemy niezmiernie interesujące omówienie dzieła prof. Górki; zamiast samodzielnej recenzji, damy więc szereg cytat z tego omówienia zaczerpniętych, gdyż uważamy, że bardzo trafnie ocena założeń prof. Górki została tam sformułowana.

Kwestię mniejszości narodowych, a zwłaszcza mniejszości żydowskiej, uważa prof. Górka za sprawę kluczową polskiej teraźniejszości. Oto co pisze recenzent: „Prof. Górka znakomicie zbija tezę antysemityzmu polskiego, będącą główną, a właściwie jedyną podstawą całego tego systemu, mianowicie wiarę w to, że ograniczenie praw Żydów i ich prześladowanie musi pociągnąć za sobą masowe opuszczenie przez nich kraju. Książka znakomicie uwydatnia nonsens tej tezy, która zupełnie nie liczy się ze sprawą możności emigracji masowej i jak gdyby jednorazowej: taka emigracja byłaby niemożliwa nawet w okresie przedwojennym, wówczas gdy dla wychodźtwa polskiego stała otworem cała Ameryka. Tym mniej jest ona możebna obecnie, gdy — konkretnie rzeczy biorąc — dla emigracji żydowskiej nie ma miejsca, poza małą Palestyną, która według najnowszych projektów angielskich ma się ograniczyć do drobnego skrawka ziemi, nie większego terytorialnie od trzech polskich powiatów. Emigracja Żydów z Polski musi mieć miejsce i będzie miała miejsce w stosunku coraz większym, gdyż sądzić należy, że wysiłki przede wszystkim rządu polskiego, bo to do niego w pierwszym rzędzie należy, doprowadzą do znalezienia innych jeszcze terenów kolonizacyjnych. Ale są to sprawy niezmiernie trudne, długotrwałe, a przede wszystkim bardzo kosztowne, więc w każdym razie musimy być przygotowani na to, że Żydzi, chociaż we wciąż zmniejszającym się stosunku odsetkowym do reszty ludności, pozostaną jednak w Polsce masowo jeszcze przez dziesiątki lat, a zapamiętała i bezwzględna walka z nimi, oparta na nienawiści, która byłaby niejako składnikiem polityki narodowej na tak długi okres czasu, musi być odrzucona nie tylko z pobudek humanitarnych, ale przede wszystkim ze względu na moralne zdrowie narodu naszego, które w atmosferze nienawiści dobrze się mieć nie może — a także ze względu na wewnętrzny pokojowy rozwój państwa.

W tych rzeczach zgadzamy się z autorem najzupełniej. Wysuwa on twierdzenie, że do emigracji Żydów potrzeba nie tylko ażeby oni chcieli, ale ażeby mogli emigrować, a obecnie tego w wielkiej masie uczynić nie mogą. Dowodzi też najtrafniej, że emigrować może ludność coś posiadająca, a doprowadzenie mas żydowskich do zupełnej ruiny i nędzy właśnie ich emigrację utrudni. To prawda, ale — z drugiej strony — nie można zgodzić się z autorem, gdy on sądzi, że drugi obok możności moment decydujący, t. j. chęć, istnieje u Żydów w stopniu zupełnie stanowczym, i to niezależnie od takiego czy innego stanowiska narodu i państwa polskiego. Piszącemu te słowa wydaje się, że gdyby w społeczeństwie polskim nie istniały żadne tendencje do polszczenia miast drogą napływu do nich ludności polskiej, do zajęcia się przemysłem i handlem, do spółdzielczości, to wątpić należy, aby masa społeczności żydowskiej, świadoma wyłącznego panowania w tych dziedzinach i nie obawiając się poważnej konkurencji, naprawdę emigrować chciała. Sądzę, że rozwijanie wyżej wymienionych tendencji w naszym społeczeństwie stanowi kategoryczny nakaz interesu narodowego, racji stanu, a także postępu kulturalnego Polski. Ale tendencje te mają wielki walor wewnętrzny, niezależny od sprawy żydowskiej, i winny być mocno popierane nie pod hasłami nienawiści do Żydów i walki z nimi, ale pod pozytywnym hasłem dobra Polski i konieczności jej rozwoju. Następstwem wzmożonego działania tych tendencji i ich realizacji będzie utrata przez Żydów ich monopolistycznego znaczenia w handlu i znacznej części przemysłu, a to podniecać musi ich chęć do emigracji. Mamy jednak wówczas do czynienia z konieczną, niekorzystną dla Żydów konsekwencją pewnego niezbędnego procesu społeczno-gospodarczego, a nie z akcją nie tylko bezprawia, bo to nigdy nie jest dopuszczalne, ale nawet z akcją pokojową, wyrosłą z nienawiści i nienawiścią karmioną".

Wiążąc sprawę mniejszości narodowych ze sprawą mocarstwowej pozycji Polski na terenie międzynarodowym, „autor zatrzymuje się na liczbowych stosunkach zaludnienia, mianowicie na fakcie, że t. zw. mniejszości stanowią prawie 1/3 część ludności państwa. Fakt to powszechnie znany, nie jest niczym nowym, ale konsekwencje tego faktu, które autor uwydatnia, są mało znane i mało rozumiane, chociaż — zdawało by się — stanowią oczywiste, bezpośrednie i konieczne jego następstwo. Jeżeli zastosujemy do narodowości niepolskich wskazania nacjonalistyczne, czyli wypowiemy im walkę, w takim razie siła liczebna, twórcza państwa polskiego zredukowana zostanie do 2/3, ponieważ 1/3 część obejmująca mniejszości w pracy państwowotwórczej udziału nie weźmie — nie tylko dlatego, ażeby nie chciała, ale także dlatego, że zasadniczo będzie od niej odsunięta. Lubimy popisywać się naszą mocarstwowością, a na jej uzasadnienie przytaczamy przede wszystkim 34-milionową ludność i to jest uzasadnienie główne, bo inne tytuły wyglądają słabiej. Jeżeli liczba czynnych obywateli państwa spadnie do 23 milionów, to oczywiście ten tytuł liczbowy o wiele słabiej występować będzie. Tak wygląda sprawa w przypuszczeniu zupełnie biernego zachowania się mniejszości, przeciwko którym jednolita wola narodu polskiego byłaby zwrócona. Ale można obawiać się gorszego, a mianowicie działania tych mniejszości masowo przeciwko dobru Polski, a w takim razie odpowiednia liczba Polaków byłaby zneutralizowana dla walki z nimi i liczbowa potęga czynna narodu jeszcze by spadła. Szczególnie groźnie wygląda ta sprawa na wypadek wojny; wówczas jest koniecznym nakazem powszechne pragnienie i dążenie do zwycięstwa w obrębie całego narodu, a w szczególności jego siły zbrojnej. Czyż wolno dopuścić od tego, aby 1/3 część tej siły nie była przejęta dążeniem do zwycięstwa, pozostawała obojętna, jeśli nie wroga, gotowa skorzystać tylko z okazji, aby na szkodę sprawy polskiej działać? Nie wątpię, że pomiędzy naszymi nacjonalistami, przeciwstawiającymi się realizacji wszelkich praw narodowościowych, przeważają szczerzy patrioci polscy. Dla nich przecież prosty rachunek, w książce prof. Górki przytoczony, powinien stanowić groźne *memento*".

Według recenzenta, którego poglądy cytujemy, ustęp dzieła prof. Górki, poświęcony sprawie Obozu Zjednoczenia Narodowego, nie jest organicznie wkomponowany w całość. „Nie wiem, czy ustęp ten jest w książce prof. Górki konieczny, ponieważ nie dotyczy on bezpośrednio omawianego w niej zagadnienia. Jeżeli by jednak traktować proklamację Obozu z punktu widzenia zagadnienia przez prof. Górkę postawionego, to mniemałbym, że sama zasada utworzenia obozu podstawowej tezie książki nie odpowiada. Zasadą tą jest zjednoczenie w obrębie Rzeczypospolitej narodu polskiego jako całości osobnej, w sobie zamkniętej i do siebie innych narodowości w państwie zamieszkałych nie dopuszczającej. Gdyby ta myśl się ziściła, to jest gdyby Obóz objął całość względnie ogromną większość narodu i gdyby wykazał odpowiednią prężność — to w Polsce musiałyby się wytworzyć dwa światy: jeden zorganizowany narodowo-polski, a drugi obejmujący inne narodowości, które, odczuwając swoje wyrzucenie poza nawias polskiej kierującej organizacji politycznej, zapewne by się jej przeciwstawiały, starałyby się walczyć z nią i narodem polskim, którego ta organizacja byłaby wyrazicielką. Czy tak się sprawy potoczą, to nie wiadomo; ale pewne jest, że już możliwość wytworzenia się podobnych stosunków nie harmonizuje z zasadniczą tendencją książki prof. Górki, która warunkuje polityczny dobrobyt państwa, a tym samym i realizację polskiego interesu narodowego, zharmonizowaniem politycznym mniejszości narodowych z państwem i zespoleniem tych mniejszości z narodem polskim pod hasłem dobra państwa polskiego".

Powyższe cytaty dowodzą, że dzieło prof. Górki stanowi doniosłe wydarzenie w polskiej publicystyce politycznej i powinno odegrać odpowiednią rolę w obywatelskim uświadomieniu tych, którzy o przyszłości państwa i narodu polskiego myślą.

TADEUSZ TESLAR: *Polityka Rosji sowieckiej podczas wojny z Polską.* Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1937. Str. 267.

Autor *Polityki Rosji Sowieckiej podczas wojny z Polską* odsłania przed czytelnikiem szereg momentów historycznych, które charakteryzują nieuniknioną i przygotowywaną wojnę Rosji z Polską nazajutrz po wybuchu rewolucji bolszewickiej. Studium swoje podzielił autor na trzy główne momenty: zaczątki ekspansji politycznej Rosji Sowieckiej przeciwko Polsce, — zakusy Rosji Sowieckiej przeciwko Polsce, — zakusy Rosji Sowieckiej na Ukrainę i klęska polityki Rosji w 1920 r.

Niezmiernie interesujący jest rozdział obrazujący stosunek Rosji do Polski w zaraniu niepodległości. Krótko podana historia tworzenia na ziemiach polskich pierwszych sowieckich republik Białorusi, Litwy—oparta na nieznanych źródłach sowieckich — przekonywająco omawia formy narzucenia wojny Polsce przez Rosję Lenina. W rozdziale o Ukrainie autor syntetycznie nakreśla grę rosyjską zmierzającą do opanowania wyzwalającej się Ukrainy, jako pomostu dla ułatwienia skoku poprzez Polskę na państwa zachodnie, by tam wzniecić „pożar rewolucji" — o czym marzyli Trocki i Tuchaczewski. W rozgrywce tej Józef Piłsudski krzyżuje plany Moskwy. I chociaż wyprawa kijowska kończy się dla Polski niepowodzeniem, projekt sowiecki utworzenia republiki „Czerwonej Galicji" musiał spełznąć na niczym. Moment trzeci i ostatni w studium Tadeusza Teslara obejmuje dzieje akcji Kominternu na terenie międzynarodowym. Szczególnie zwraca uwagę końcowa część książki — mówiąca o wpływach antypolskiej polityki sowieckiej w Niemczech i Anglii.

Syntezą książki jest ustalenie prawdy historycznej mało ciągle uwypuklanej, że Rosja Sowiecka oprócz porażki militarnej poniosła w wojnie z Polską przede wszystkim klęskę polityczną.

Obfita bibliografia wskazuje, że źródłowa praca Teslara stanowi ważny przyczynek do badania stosunku politycznego Rosji do Polski. I dlatego jest to książka niezmiernie aktualna.

ADAM SIEWIERSKI

ROSA BAILLY

WZLOTY

Sam na sam z burzą — w gór pierścieniu,
Patrzymy sobie w twarz. Milczenie. —

Gwiazda rozbłyska wśród potoku,
Druga na skalnym świeci bloku.
Piarg skrzy się, dżdżu pozlotą mieni...
O, kwiecie pustki! Gór bezdeni!

Wiew płynie, sunie drobną wełną
Po trawach, pędach, ziół tysiącach...
Wód pianę kłębi i roztrąca...

Wtem burza — pasterz wściekły — ostrym biczem zatnie
Stado gór, które w szale aż do nieba skoczy,
Wychynąwszy w popłochu z czarnych mroków matni...
Ich krzyk grozy grzmi... dudni... głucho w dal się toczy...

Już przeszyta przez słońca zwycięskiego groty,
Przestrzeń zwolna opada w chmur pocięta płaty,
Odsłaniając widoku strzęp, jak rąbek szaty,
Co się wydarł dopiero z burych mgieł ciemnoty:
Lęk w nim dyszy, zrodzony wśród gromów łoskotu...

Wezbrany potok zerwał mostu pęta,
Przerzuconego wpoprzek siodła wzorem,
Skruszył spojenia żelaz i cementu,
Patrząc wzgardliwie, jak pod wód naporem
Stos gruzu rośnie... Teraz mostu szczątki
Zlorzeczą falom uśmiechniętej wody,
Co pluszcze cicho, lekko jak z początku,
Niosąc znów odblysk złotej dnia pogody.

Jak serce, które bije w rytm szalony,
Kołysząc bolu i miłości burze,
Góra dziś wszystkie zmieszała sezony,
Śniegiem rozkwitle posypując róże,
Mrokiem zgasiwszy skał lodowe szczyty,
A złocąc słońcem tęskne zimowity...
W dniu tym widziałam, jak się nawalnica
Miota i szpony w własnym topi łonie...
Wtem — lazur nieba majowy prześwieca,
Sunąc jak uśmiech po czarnym gór skłonie...
W dolinę i w mą duszę spadły naraz błyski
Słońca, zmieszane z gromem, i gradu pociski.

Ten cichy wieczór w chmury
Kłąb
Przystroił góry,
Dolin głąb.

I dzień, co w jeden łańcuch spiął
Wystrzały blasku, burzy grom,
Apoteozą kończy śpiew...
A już dalekie czoła gór,
Drzemiące pod oponą chmur,
Różowi krew.

Przełożyła *JADWIGA WAŻEWSKA*

Dla CHRZEŚNIAKÓW
ROCZNA PRENUMERATA
PŁOMYCZKÓW
TO NAJLEPSZY UPOMINEK
za 5 Zł. LUB 9 Zł. 40 razy 40
(CO TYDZIEŃ) PRZYNOSI
RADOSNE NIESPODZIANKI
I POŻYTECZNĄ ZABAWĘ
W POSTACI BARWNYCH, PIĘKNYCH BOGATO ILUSTROWANYCH TYGODNIKÓW
ZAMAWIAĆ MOŻNA: Wydział Wydawniczy Z. N. P. Warszawa Smulikowskiego 1 lub wpłacając na konto nr 6880 w PKO. a także w każdym urzędzie pocztowym i u listonoszów.

TYMON TERLECKI

WIZYTA W ŻELAZOWEJ WOLI

Na kilka dni przedtem kłóciłem się z kimś ząb za ząb o Żelazową Wolę i Zułów. Że powinno zostać jak było i jak jest. Że tak powinno tu i tam trwać niezmiennie i nietykalnie, po wieczne czasy.

Gdy pojechałem do Woli, cała pewność padła od jednego wejrzenia. Wiał tego dnia zbyt porywisty, zbyt namiętny wiatr kwietniowej wiosny. Na ostrym niebie czesały się obłoki, jak wełna na siwym, stalowym zgrzebie. Zrozumiałem, że całe onegdajsze dowodzenie opierało się na fałszywej analogii z zabytkami sztuki plastycznej, na złudzeniu nieprzemijalności. Któż wie, jak było tu, gdy w oficynie pańskiego, hrabiowskiego dworu rodziło się dziecko blade i genialne, któż może sprawić, aby było jak było, aby zostało jak jest? Oto żyją i umierają drzewa, przemijają, jak ludzie i jak obłoki. Oto dotyka je ślepa klęska, odmienia je niewiadoma i niepochwytna wola przyrody. I jeszcze: jakże to może być tym samym, gdy się staje miejscem kultu, punktem zbornym ludzi i punktem zbornym przeżyć zbiorowych?

Dopiero w Żelazowej Woli pojąłem, że z ogrodu, z parku, ze skrawka przestrzeni, nad którą przepływają obłoki i pory roku, można uczynić dzieło sztuki osobnej, odrębnej od wszystkich innych, którymi człowiek wspiera swój los, zwycięża rozpaczliwość istnienia. Pojąłem, że możliwa jest kompozycja żywej przestrzeni, żywego,

MOSTEK W PARKU

odmieniającego się kształtu, żywego, odmieniającego się koloru. To tylko bezradność wobec nowej formy artystycznego ujęcia świata każe się odwoływać do sztuk dawniej znajomych i bliskich, aby sobie uświadomić, aby nazwać po imieniu doznane przeżycie.

Gdy chodzę po nowym parku w miejscu urodzin Chopina, myśleć muszę o teatrze i muzyce. To dzieło kształtowane jest z ziemi, z wody, z drzew, krzewów, kwiatów, z kamieni, schodów, słupów, murów i jeszcze z efektów najbardziej nieobliczalnych, najbardziej płochych, najchyżej przelotnych: z obłoków niebieskich. A przecież rozwija się, jak akcja, w coraz to innych kulisach, gra się w muzycznych rejestrach, w coraz to innych połączeniach instrumentów, w coraz to inaczej sprzymierzanych tonach.

Teatr i muzyka. Co kilkanaście kroków odsłania się oczom nowe ułożenie perspektyw, nowe sprzęgnięcie żywych i martwych elementów kompozycji, nowa dramatyczna sprawa między niebem i ziemią, między zielenią, barwą kwitnącą, a architekturą. I zdaje się, że to już nie oczom, ale jakiemuś jeszcze subtelniejszemu czuciu odsłaniają się sprzęgi, kontrasty, gamy, fioritury kolorów, odcieni, tonów.

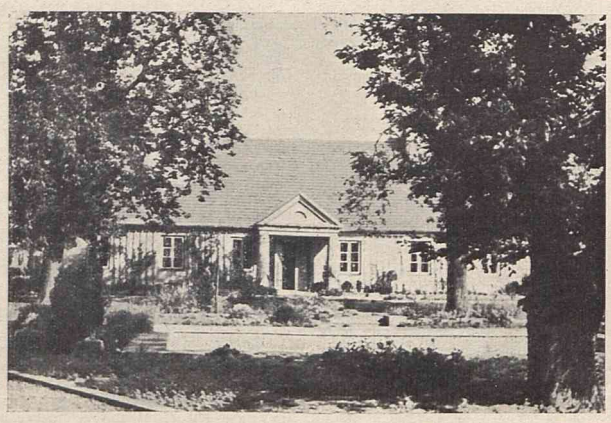

ŻELAZOWA WOLA — DWOREK

Osobliwość tego teatru zorganizowanej przyrody stanowi, że ilość sytuacyj jest w nim niemal nieskończona. Osobliwe w tej muzyce jest, że nie przebrzmiewa, że trwa i odmienia się i mnoży w przestrzeni bez końca. Jest to teatr, w którym poruszam się swobodnie. Jest to muzyka, której słucham do woli. Może właśnie tu jest najbardziej osobne znamię tej sztuki, że się w niej współdziała czynnie, że się wyzwala z dzieła nie policzone możliwości wyrazu.

Nie dość tego. Jest w mim jeszcze: wezwanie do snu, apel do marzenia. Takie jakie jest to dzieło, pełne tylu podniet, pełne nieobjętego bogactwa — nie jest definitywne. Twór każdej innej szuki dany jest w stanie ukończenia, w kształcie mniej lub więcej ostatecznym. Dzieło sztuki ogrodowej zawieszone między niebem i ziemią staje się ciągle, tli się w nim nieugaszona niespodzianość. Zawsze trwa w stanie zarysu, który się dopełnia, który się bogaci w szczegóły.

Gdy tam jestem, wszystko jest opylone dziecinną zielonością, jak mgłą, jak uśmiechem obietnicy. I muszę marzyć, jak będzie za miesiąc, za dwa, za trzy, w lecie, w jesieni? Jak będzie za rok, za dwa, za trzy, u kresu lata tych krzewów, u początku jesieni dojrzałej tych drzew?

To wszystko jest powzięte w duchu nowoczesności. Nie przypomina niczym oschłej, racjonalistycznej geometrii ogrodu w Versailles, ani romantycznej fantazyjności parków angielskich. To jest trochę jak muzyka atonalna. Trochę jak teatr, o którym się mówi — może z odrobiną wyzywającej demagogii — „antyestetyczny".

Zuchwałe zestawienia kolorów. Spoina niebieska, jak farbka do prania, skojarzona z martwą bielą muru, z zimną, nienazwaną zielenią, z forsytią bezczelnie żółtą, jak mimoza. Cegła szamotowa połyskująca metalicznie, a ciemnoruda, jak razowiec, wymieniająca się z szarobiałą, sąsiadująca z naturalnym, nieforemnie łamanym kamieniem.

Nie mniej śmiałe operowanie linią: prostą, krzywą, zygzakowatą, kolistą. Gdzieś jest prostokątne lustro wodne i zaraz obok półkole drzew. Bawią asymetrie, świadome załamania osi. Koło za domem, ujęte w rzędy tsug, wydaje się miejscem akustycznym ciszy. Tu się jej doświadcza materialnie, jak dźwięku, dotykalnie, jak wzruszenia. Od tego koła wychodzi prosta aleja w stronę jeszcze nie istniejącego mauzoleum.

Drzewa, tysiące drzew, krzewy, kwiaty, których nie umiem nazwać. Migdał znad Dniestru, bez, który wynalazła jakaś Kanadyjka, zbłękitnione cyprysy, jodełki z różowymi, niewinnie obnażonymi sutkami, wierzba o kotkach zbyt wielkich i pylących żółto, klon amerykański obwieszony precjozami wczesnej wiosny, srebrny oliwnik, którego liść roztarty pachnie, jak niedojrzałe jabłko i zakazana radość dzieciństwa.

Na dnie tego świata cudów teatr dionizyjski. Tarasy z darni wspinają się jedne nad drugimi, jedne poprzez drugie zstępują w dół, do podłużnego stawu, w którym narcyzowo przegląda się wierzba. Za wodą biała, kamienna orkiestra. Dalej jeszcze jedno oparcie dla oczu: olszynka — zasłona z powiewnej zieleni. I dalej już tylko niebo. Teraz zalega orkiestrę cisza, cisza tysiąca nieobecnych śpiewaków i muzyków. Tylko gdy podejść bliżej, słychać, jak ją wypełnia muzycznym szelestem Utrata, krzywo snująca się w łozach, ciemna, jak wywar dębowy.

I pośrodku biały domek, ujęty w to wszystko, jak w oprawę cyzelerską, uniesiony w górę, jak opłatek w świetlanej monstrancji. Od strony rzeki podtrzymują go pergole. Z innej strony ta przestrzeń kolista, nabrzmiała ciszą. Tu, na to górujące miejsce idzie się najpóźniej: gdy już oczy pełne są tamtego teatru, słyszenie wewnętrzne tamtej muzyki. Biały ganek, kasztany i jesion. Do któregoś okna zagląda japońska wiśnia, wiotka, naiwna i już, jak pośpiesznie, kwitnąca. Odpowiada się jej wzruszeniem wdzięczności za ten pośpiech. Prawie puste są jeszcze jasne pokoiki, ta zacieniona wnęka, w której po raz pierwszy otworzył oczy, zaczął łowić odgłosy ziemi, mające mu się układać w melodie najsłodszego zachwycenia. Proste, ale wypełnione atmosferą wytrwałego, czułego entuzjazmu, jakim otoczono to miejsce.

Odjeżdżam stamtąd, jak bym wychodził ze snu. I myślę, że właśnie to, właśnie takie, jest godne Fryderyka Chopina. Jest równe jego artystycznej zjawiskowości. W najuboższym, najsmutniejszym pejzażu mazowieckim powstaje twór żywy, jak teatr eleuzyński odziewający się coraz w młodą zieleń i śmiertelną nagość, rosnący w rytmie przyrody i w zgodzie z twórczą wolą człowieka, klejnot nowoczesności ostrej, wyrafinowanej, a jednocześnie prostej i harmonijnej, dzieło planistyki i architektury ogrodowej europejskie i godne pokazania Europie.

I gdy wspominam Żelazową Wolę, gdy ją widzę w myśli, nachodzi mię pragnienie, aby tam wrócić, by tam wracać ciągle i pątzeć, jak Bóg, uczeń pokorny i genialny, będzie cierpliwie dopełniał dzieło pomyślane, zakreślone przez artystę-człowieka.

TYMON TERLECKI

ŻELAZOWA WOLA — PERGOLE

NOWE POEZJE

MIECZYSŁAW BRAUN: *Sonety*. F. Hoesick, Warszawa 1937.

Sonety Mieczysława Brauna mają charakter artystowski i noszą dużo cech kotturnowego, trochę sztucznego klasycyzmu. Zbiorek zawiera 43 sonety o zabarwieniu refleksyjnym. Lecz mimo dużej zręczności w wierszowaniu, mimo wyszukania w obrazowaniu — sonety te nie wywierają mocniejszego wrażenia. Wydają się zbiorem ładnie dobranych słów, ułożonych według wszelkich prawideł sztuki poetyckiej, lecz poza wrażeniem pewnego następstwa słów, zwrotów, wyrażeń, nie wywołują w nas poczucia konieczności takiego właśnie, a nie innego doboru tropów, nie budzą w nas uczucia, że autor to właśnie chciał powiedzieć, co ze słów wynikło. Wydaje się nam, że autor właściwie nie wiedział, co ma zamiar wyrazić, że w genezie tych sonetów nie było jakiejś jednoczącej koncepcji, że wiersze pisały się niejako same, siłą rozpędu, kiedy jedno wyrażenie ciągnie za sobą drugie, rym wywołuje rym, lecz wszystko to nie związane jednością mocnego przeżycia. Oczywiście, to co piszę dotyczy tylko jakby wewnętrznego wyglądu tych wierszy. Zewnętrznie, od strony formalnej, nic im nie można zarzucić. Rzemiosło to poetyckie precyzyjne i wyrafinowane.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK: *Niepokój wieczorny*. F. Hoesick, Warszawa 1937.

Nowy tomik Słobodnika jest przedłużeniem pieśni, którą poeta snuje z siebie od szeregu lat. Jest w atmosferze jego poezji ton lirenkowy czy ligawkowy, jakieś zaśpiewanie się, monodyczność i melodeklamacyjność w tonacji uczuciowej, roztapianie się w żywiole liryzmu i poetyczności. Wiersze Słobodnika płyną swobodnie i niewymuszenie, jakby bez żadnych oporów natury czy to wewnętrznej, czy formalnej. Proste i szczere w wyrazie, są przecie wynikiem dużej biegłości wersyfikacyjnej, opanowania rzemiosła wierszopisarskiego, przechodzącego często w rutynę. Autor już nie szuka nowych środków wyrazu, nabyta długim ćwiczeniem wprawa wystarcza mu w zupełności, chce być tylko prosty i śpiewny. W *Niepokoju wieczornym* stroi swą „lutenkę" na ton melancholijny i elegijny, a zarazem przejrzysty. Klasyczny umiar — to postulat ostatniego tomiku. Nastrój uczuciowy tego zbiorku dobrze podkreśla jeden z wierszy: jest to nastrój ostatnich podmuchów lata, nastrój przedwieczorny.

Jeszcze tylko godzina do zachodu słońca
Została, ale drzewa przeczuwają mrok —
Wiem — kto teraz owoców z drzewa nie
postrąca,
Ten na próżno do sadu skieruje swój krok.

Nie zdąży i nie jego wszystko będzie już,
Strof nowych nie ułoży, słońca nie dogoni
I nie pozbiera z trwożnie zmierzchających róż
Wszystkich ich barw i całej wołającej woni...

—mówi poeta i takie nastawienie uczuciowe dominuje w całym zbiorku.

Sporo jest w tych wierszach refleksji, obleczonej w proste i przejrzyste obrazy, nie wyrafinowanej, nie siłącej się na filozoficzne głębie, — ale właśnie przez to ujmującej i bardzo po ludzku sympatycznej.

Uderzają akcenty miłości i przywiązania do ziemi polskiej i do mowy, rzewne i naprawdę szczere.

Kocham Mazowsze, jak jego synowie,
Przybysz odwieczny, obcy i wzgardzony —
Ojczyzna moja szumi w polskiej mowie,
Bliskiej jak ktoś boleśnie oddalony

— powiada w wierszu *Sen o plugu*, a w innym czytamy:

A gdy po polsku ktoś mi tam odpowie,
Ja nawet głuchy, mowo moja, ciebie
Chwycę, jak błękit chwytałem w dąbrowie.

Niepokój wieczorny — to pamiętnik uczuć, wzruszeń, myśli i niepokojów, to istotnie zbiór wierszy zgodnych z pojęciem liryzmu, tworów prawdziwego i szczerego poety, poety bez pozy, przy tym zbiór wierszy mających własny odrębny styl i wyraz, dzięki którym wyraźnie rysuje się indywidualność poetycka ich autora. Pewne szkody przynosi tylko tym utworom rutyna wierszopisarska poety, sprawiająca, że prześlizguje się on nad wieloma problemami i trudnościami wyrazu.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

SPRAWY NIEMIECKIE

KRYZYS RELIGIJNY

Niemcy przeżywają obecnie okres przypominający czasy reformacji; skostniały na ogół protestantyzm przeżywa głęboki kryzys, katolicyzm zaś z trudem opiera się atakom i prześladowaniom. Jak w szesnastym wieku mnożą się książki, broszury, ulotki polemiczne z dziedziny teologii i metafizyki. W miesięczniku *Das deutsche Wort* (za lipiec i sierpień br.) znajdujemy ciekawe sprawozdanie G. Krolziga z szeregu nowych publikacji polemiczno - religijnych, wskazujących na chaos jaki się wytworzył w sumieniach i umysłach wierzących Niemców. Wymienimy pokrótce za referentem treść co ciekawszych i bardziej charakterystycznych wydawnictw.

Dwaj autorzy, G. Günther i H. Schelsky napisali wspólnie i wydali w Lipsku książkę o metafizyce chrześcijańskiej i losie nowoczesnej świadomości *(Christiche Metaphysik und das Schicksal des modernen Bewusstseins)*. Opierają się na niemieckiej filozofii idealistycznej, w szczególności na Schellingu, i pragną uzupełnić „transcendentalną teorię świadomości teoretycznej" takąż teorią świadomości praktycznej. Akcent pada tu na czyn, *czynny heroizm;* w miejsce chrześcijańskiej idei „Na początku było Słowo" pojawia się kult tworzącej życie i świat — woli. Brzmi to nieco po nietzscheańsku, skądinąd jednak autorzy odżegnują się od tragicznego ujęcia bytu w duchu nietzscheańskim; zwiastują epokę radosnego bohaterstwa, epokę „Prometeusza, oswobodzonego przez Heraklesa".

O stosunku Nietzschego do chrześcijaństwa traktuje wydana w Berlinie rzecz H. E. Schrödera *(Nietzsche und das Christentum;* charakterystyczna nazwa wydawnictwa: „Widukind — verlag"). Broszura ta składa się głównie z cytatów; we wnioskach autor w oparciu o *Narodziny tragedii* przyjmuje za mistrzem stanowisko „Dionizosa przeciw Ukrzyżowanemu". — Referent przeciwstawia tę książkę pracy omówionej poprzednio i podkreśla różnicę między pełnym siły witalnej mitem o oswobodzonym Prometeuszu a „ciemnym fatalizmem religii dionizyjskiej".

Z tą antynomią łączy się jeszcze jedna książka, wydana w Wejmarze: studium historyczno-literackie Georga Kefersteina o Parsifalu *(Parzivals ethischer Weg)*. W filozoficznej interpretacji tego badacza poemat Wolframa v. Eschenbacha poetycko ucieleśnia pogodzenie chrześcijaństwa i niemieckości w „człowieku gotyckim". „W chrześcijańskim rycerstwie niemieckim jest możliwe i stanowi nawet obowiązek służyć Bogu i światu zarazem. Graal jest najwyższym symbolem niemieckiego chrześcijańskiego rycerskiego życia".

Nie mniej charakterystyczną rozprawę ogłosił historyk Arno Deutelmoser *(Luther, Staat und Glaube,* wyd. E. Diederichsa w Jenie). Pragnie on udowodnić tezę, że Luter u kresu swej drogi całkowicie odeszedł od chrześcijaństwa i głosił apoteozę państwa imperialistycznego *(Machtstaat)*. Wielka ilość cytat ma świadczyć o słuszności koncepcji, czyniącej z twórcy reformacji — współtwórcę niemieckiej idei państwa, rozwijającej się od „mistrza Eckcharta (mistyka z czasów średniowiecznych) poprzez Fryderyka Wielkiego do dzisiaj. Wywód ten — stwierdza referent — jest mocno naciągnięty i nie zgadza się z rzeczywistością. Idzie tu jednak oczywiście nie tyle o zgodność z rzeczywistością, ile o sens publicystyczny. A ten zwraca się przeciwko tendencji dwóch pierwszych książek, głosi bowiem *pochwałę* nauki o predestynacji, pozytywne znaczenie zerwania z wolnością woli w budowie niemieckiej idei państwa.

Jeszcze jedna publikacja, innego charakteru; nie pseudo-naukowy wywód teologiczny lecz wyznania osobiste, głos uczucia: zbiór listów polemicznych Martina Hieronimi *Młody Niemiec wobec Boga (Junger Deutsche vor Gott)*. Autor polemizuje żywo i gorąco z młodymi katolikami, protestantami i tzw. chrześcijanami niemieckimi, składa wyznanie wiary nacjonalistycznej i rozprawia o mistycznym „byciu człowiekiem" *(Menschsein)* i „zbliżaniu się do Boga" *(Gotnähe)*. W sumie: osobliwy, chaotyczny, manifest nieskoordynowanych porywów młodzieńczych.

W końcu dwa wydawnictwa pochodzące z obozu reformistycznie nastrojonych protestantów. Tu dyskusja toczy się przede wszystkim wokoło problemu predestynacji; reformiści protestanccy poruszają na nowo zagadnienie wolności woli, nie mogąc się pogodzić z przekreśleniem jej. Przeciwko powadze teologicznej, Karlowi Barthowi, podniosły się ostatnio dwa głosy opozycji, Gogartena i Brunnera. Fr. Gogarten (w dziele *Gericht oder Skepsis,* wydanym u Diederichsa w Jenie) wytyka Barthowi i tradycyjnej teologii ewangielickiej doszczętne zagubienie idei odpowiedzialności etycznej; Brunner w szeroko zakrojonym dziele *Człowiek w sprzecznościach (Der Mensch im Widerspruch)* próbuje stworzyć w oparciu o dorobek nauki pierwszą nowoczesną antropologię chrześcijańską, gdzie metafizyczne przeciwieństwo bytu i woli znajduje pogodzenie i rozwiązanie w Bogu.

Tak przedstawia się w największym skrócie treść kilku wydanych w ostatnich miesiącach publikacji z dziedziny teologii. Ukazują one jasno, jak wielki chaos religijny zapanował w Niemczech. Przeciwników ortodoksji chrześcijańskiej jest wielu, a wśród nich są zwolennicy nietzscheanizmu obok wyznawców Fichtego i Schellinga, wielbiciele gotyku i „naukowi" interpretatorzy Lutra w duchu aktualnych haseł politycznych, no a nade wszystko młodzi zapaleńcy o żywych temperamentach a mętnych umysłach. I — konkluduje referent — rozwiązanie tego kryzysu może nastąpić nie w oderwaniu od chrześcijaństwa lecz tylko w oparciu o zreformowaną teologię protestancką, a więc w każdym razie w oparciu o *grunt chrześcijański.*

NOWA HISTORIOZOFIA

Niemcy mają z dawna zaszczepioną skłonność do rozważań historiozoficznych, od sławnych prekursorów Herdera, Hegla biegnie nieprzerwaną koleją tradycja śmiałych syntez dziejowych, tłumaczących prawa rozwoju ludzkości. Ostatni z klasycznych historiozofów niemieckich, pisarz europejskiej sławy Oswald Spengler zmarł niedawno; ale na miejscu przez niego opuszczonym zjawiają się wciąż nowi pisarze i nowe dzieła.

Głównym tematem współczesnej historiozofii niemieckiej jest wiek XIX, przy czym obejmuje się tą nazwą okres szerszy czasowo, bo od wybuchu rewolucji francuskiej do przewrotu narodowo - socjalistycznego. (Podobne ramy zarysował i w podobny sposób ujął u nas wiek XIX prof. Zygmunt Łempicki). Ostatnio dużą książkę na ten temat wydał Hermann Ullmann *(Das neunzehnte Jahrhundert. Volk gegen Masse im Kampf um die Gestalt Europas* u E. Diederichsa w Jenie). Jak wskazuje tytuł autor widzi „treść" zeszłego stulecia w walce narodu z masą o panowanie w Europie. Idea narodu przełamuje ideę państwa uniwersalnego, następnie zachwiewa się między liberalizmem i reakcją, między imperializmem państwowym i burżuazją, aż wreszcie po latach światowego kryzysu odnosi zwycięstwo nad anonimową masą demokratyczną.

Ciekawą postacią fachowego historyka o historiozoficznym zacięciu jest profesor uniwersytetu berlińskiego Kurt Breysig. Obszerny dorobek twórczy tego uczonego omawia szeroko w ostatnim numerze *Das Deutsche Wort* Alfred Otto Stolze. Breysig odnosi się z równą niechęcią do „apriorystów", którzy narzucają swoje systemy dedukcyjne faktom historycznym, i do empryków, którzy ograniczają się do opisywania tych faktów. Zajmuje on jak gdyby stanowisko pośrednie. Pragnie na podstawie gruntownego zbadania dokumentów ustalić pewne prawa dziejowe, powtarzające się w ewolucji wszystkich ludów i narodów ziemi. Odrzuca Hegla z jego ideą „samourzeczywistniania się ducha" jak i Marksa z teorią materializmu dziejowego; stosunkowo bliższe mu jest stanowisko naturalistyczne, choć zdaje sobie sprawę, że prawa rozwoju natury muszą być w pewnym stopniu odmienne od praw rozwoju człowieka. Dla historii narodów ustalił Breysig trzydzieści pięć t. zw. reguł wzrastania np. o powstawaniu państwa ze związków rodowych, o rozwoju ekonomicznym, rozwoju religii i t.p. Ponad tymi prawami pierwszego stopnia sformułował jeszcze autor *Vom geschichtlichen Werden* dziesięć zasad wyższego rzędu. Najważniejszą z nich stanowi zasada analogiczności procesu rozwojowego wszystkich narodów. Proces ten może nie dobiec do końca, zatrzymać się na jednym ze stadiów, ale porządek tych etapów jest zasadniczo niezmienny. Nie uznaje też Breysig spenglerowskiego poglądu o nieuchronnej rzekomo śmierci dojrzałych kultur; uderzającym przykładem, świadczącym przeciwko tej tezie utworzonej na modłę przyrodoznawczą są — Chiny.

Szczególnie żywo zajmują Breysiga zagadnienia psychologii historycznej. Jedno z jego głównych dzieł nosi tytuł *Historia duszy (Geschichte der Seele)*. Breysig przypisuje główną, rozstrzygającą rolę w dziejach jednostce i ustala jako zasadnicze prawo historyczne dwoisty stosunek jednostki do świata: mocne zaakcentowanie jaźni indywidualnej, osobowości, albo pęd do zupełnego rozpłynięcia się w naturze lub w grupie społecznej. Jak podkreśla Stolze, prawo to zostało potwierdzone z innej strony przez psychologów współczesnych, Adlera, Junga i Kretschmera (typy introwertyczne i ekstrawertyczne, schizotymicy i cyklotymicy). Innym twierdzeniem historycznym Breysiga jest teza, że w dziejach ludzkości uwidocznia się stały wzrost uświadomienia w działaniu. Ta systematyczna racjonalizacja wyraża się równocześnie stałym wzrostem sił rozumowych i uczuciowych i z drugiej strony słabnięciem woli i wyobraźni w człowieku.

Obecnie Breysig pracuje nad wielkim dziełem, w którym pragnie zawrzeć całość swego dorobku myślowego, — nad *Historią ludzkości*. Dotąd ukazał się pierwszy tom tej na gigantyczną miarę zakrojonej pracy, kreślący początki życia ludzkiego na ziemi (pt. *Die Anfänge der Menschheit*).

SEWERYN ROGOWSKI

ROSA BAILLY

Wszyscy zapewne znają propagatorską działalność pani Rosy Bailly, założycielki i sekretarki generalnej instytucji „Przyjaciele Polski", z centralą w Paryżu i całą siecią ośrodków pokrywającą Francję. Nie dość znane natomiast są u nas jej poezje. Na jej dorobek poetycki składają się 3 tomy utworów wydane w następującej kolejności: *Montagnes Pyrenées,* 1934 (odznaczony nagrodą Académie des Lettres Pyrénéennes); *Alpes* 1935; *Gavarnie, ô merveille,* 1937. Poetka widzi góry poprzez własną duszę: natura i jej przeżycia wewnętrzne stapiają się w jedną przedziwną całość. Oto jak charakteryzuje te poezje Francis Jammes w swej przedmowie do *Alp:* „Pani Bailly rozwija przed nami łańcuchy przeżyć w długim, harmonijnym rytmie, w sposób niewyszukany, naturalny jak strumień, który płynie i nie troszczy się o sztukę dobierania rymów"; a o parę wierszy dalej: „Jej sztuka płynie ze źródła. Asonans czasem niedostrzegalny lub ledwie zaznaczony, rym zjawia się wedle kaprysu, a przecież ten wiersz brzmi równie bogato, jak wiersz Anny de Noailles, a czasem zbliża się płynnością do Jana de La Fontaine". *Pireneje* są hymnem radości, którego moment kulminacyjny to wybuch szalonej burzy; *Alpy* są potwierdzeniem tezy, że „krajobraz jest stanem duszy", która tutaj z odmętów bólu wznosi się do wyżyn ekstazy, *Gavarnie* natomiast jest po prostu zwierciadłem, które odbija najpiękniejsze zakątki świata.

Przekłady *Pirenejów* dokonane przez Julię Wieleżyńską ukazywały się w *Bluszczu* i *Kamenie;* co do *Alp,* to poemat *Dusza Góra* w moim przekładzie drukowany był w tatrzańskim numerze *Kameny,* a poemat pt. *Dolinka* w n-rze 29 *Tygodnika Ilustrowanego* z r. bieżącego.

JADWIGA WAŻEWSKA

Z PRASY

Ostatni numer *Niepodległości* (pod nową redakcją, którą objął Tadeusz Szpotański) poświęcony jest pamięci ś. p. min. Leona Wasilewskiego, założyciela i długoletniego redaktora *Niepodległości.* Na wstępie zeszytu znalazł się wybrany z pism pośmiertnych artykuł L. Wasilewskiego o Litewskiej Socjalnej Demokracji, jeszcze za życia przeznaczony dla *Niepodległości.* Obszerny szkic biograficzny L. Wasilewskiego pióra Wł. Pobóg-Malinowskiego otwiera właściwą treść zeszytu. Dobór artykułów i wspomnień pomyślany jest tak, żeby uwypuklić wszystkie charakterystyczniejsze rysy i momenty w życiu Zmarłego, który był nie tylko znanym zwłaszcza w kwestiach mniejszościowych badaczem, ale wybitną postacią polityczną obozu niepodległościowego. Naukowe zainteresowania L. Wasilewskiego szły w dwu kierunkach: w kierunku badań historycznych nad ruchem socjalistycznym w Polsce i badań spraw narodowościowych. Te zainteresowania omówili H. Wereszycki i J. Skrzypek, zaś o roli osobistej L. Wasilewskiego w P. P. S. napisał A. Próchnik. Jako organizatorowi badań nad najnowszą historią, poświęcił mu uwagę Wacław Lipiński w osobnym artykule, nawiązując w nim do osobistych wspomnień z kilkunastoletniej współpracy z L. Wasilewskim.

*

Sprawa ostatniego kongresu PEN-klubu i skandalicznego wystąpienia antypolskiego p. Steinberga zajmuje nadal sporo miejsca na łamach prasy. Na ogół przeważa mniemanie, że odpowiedź delegata Polski, p. J. Parandowskiego, była niezbyt energiczna i zdecydowana; trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że ataki z powodu nieobecności A. Słonimskiego na tym posiedzeniu kongresu, na którym p. Steinberg swe prowokacyjne przemówienie wygłosił, są przesadne — tym bardziej, że ostatecznie nie ustalono dotychczas, czy p. Słonimski był delegatem oficjalnym, czy też otrzymał tylko jakąś bliżej nieokreśloną „delegaturę koleżeńską". Solidaryzujemy się całkowicie z oceną obrad kongresu, wypowiedzianą na łamach *Pionu* przez p. Łaszowskiego; natomiast list p. Łaszowskiego, ogłoszony m. in. w *ABC* z dnia 6 sierpnia r. b., wydaje się nam nieproporcjonalnie agresywny w stosunku do udziału w inkryminowanej „sprawie" osoby p. Słonimskiego.

Nowych klientów

pozyskuje na prowincji firma pomieszczająca ogłoszenia w dzienniku

„Express Lubelski i Wołyński"

XV rok wydawnictwa
Najwyższy nakład na terenie
Województw Lubelskiego i Wołyńskiego

Bliższe informacje, egzemplarze okazowe, kosztorysy ogłoszeń — na każde żądanie.

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.

TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI

IRLANDIA WSPÓŁCZESNA

POLITYKA
KULTURA
LITERATURA

WYDAWNICTWO „DROGI"

Skład Główny: Warszawa, Księgarnia TRZASKI, EVERTA i MICHALSKIEGO

PION

należy abonować lub nabywać w kioskach i żądać go w czytelniach, cukierniach i restauracjach

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 12 — 14. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. **Administracja:** Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: **Józef Czechowicz**

WYDAWCA: **Wilam Horzyca**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.